

Jan Izydor Korzeniowski

Przygasłe oblicze boga

Dagobert

Tom 1

W poszumie dębów

Jan Izydor Korzeniowski

*Przygasłe oblicze boga. Dagobert.
Tom 1 W poszumie dębów*

© Copyright by haveanicEbook.pl

ISBN 978-83-64820-07-6

Redakcja
Katarzyna Kłóś

Korekta
Liliana Skolimowska

Projekt okładki
Tomasz Toruński & haveanicEbook.pl

Skład i łamanie
Katarzyna Kłóś

Wydawca

Wydawnictwo Internetowe haveanicEbook.pl
www.haveanicebook.pl
kontakt@haveanicebook.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy
zabronione.

Wydanie I 2015

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I.....	5
ROZDZIAŁ II.....	21
ROZDZIAŁ III.....	35
ROZDZIAŁ IV.....	56
ROZDZIAŁ V.....	75
ROZDZIAŁ VI.....	91
ROZDZIAŁ VII	106
ROZDZIAŁ VIII	126
ROZDZIAŁ IX	145
ROZDZIAŁ X.....	164
ROZDZIAŁ XI	181
ROZDZIAŁ XII	197

I zaśpiewał Kostur: „Dęby tylko ostaną, wyrosłe przed laty pośrodku boru, który zniknie i nikt nie zaświadczy o naszych bogach i dziejach. Wiatry zerwą niejednen konar; kory dębów popękają, jesienne wiatry zrywać będą liście przez tysiąc i więcej lat, rozsiewając je po dalekich ziemiach. Opuszczą nas bogowie, bo ofiar im składać nie będzie miał kto. Ludzie latać będą jak ptaki, za bogów się będą mieć. Ognie wypalą oczy, tak, że żadna łza nie będzie wypływać z nich, zniknie wiele domów a pola obsiane zbożem, spalone, nie dadzą już plonów. Brat będzie zabijał brata.

Dęby ostaną bez duchów naszych przodków, którzy pogniewają się na nas, bo nie będziemy ich wspominać i mówić: „Oto bogowie naszych ojców!” W pustce wyrastać będzie nowe, w nowy znak patrzeć będą ludzie oczekując dobra, lecz nic się nie zmieni.

Przejdziecie przez ogień i wodę, niejednen miecz zatopicie w sercach wrogów, wiele głów zetniecie, życie oddacie nowej wierze, niepomni na wiarę swoich ojców, wskazując na nowy znak, będziecie bluźnić i krzyzcze: „To jest wiara naszych ojców!” Nic się nie zmieni: Brat zabijać będzie brata.

Orzeł poszybuje nad tą, i inną, ziemią, rozłoży swe skrzydła szeroko, lecz nieraz ugodzony upadnie, by znów wzbić się do lotów na tysiąc lat i więcej... Stańcie przy dębach i rozejdźcie się we wszystkie strony świata, aby czynić prawość. Nad dębami kołował będzie orzeł, jako znak skąd wyszliście i dokąd macie wrócić. Zdobędziecie wiele ziem a wiele utracicie. Wasze żony w bólu rodzić będą córę i synów, w trudach zdobywać będziecie pożywienie, a maci was będą bogactwa. Dla wielu bursztyn i złoto nowym bogiem będą. I nic się nie zmieni: Brat zabijać będzie brata.

Idźcie szukać prawdy, cokolwiek się stanie!”

Rozdział I

Stanął na brzegu piaskowej skały i rozejrzał się wokoło. Słońce już zaczęło skłaniać się ku wierzchołkom drzew, a on ciągle nie wiedział, gdzie zniknął Krzywonos, jak nazywano niedźwiedzia. Imię zwierza wymieniano z szacunkiem i strachem, zniżając głos, żeby wiatr nie poniósł nieostrożnych słów w nieprzenikniony bór, gdzie zamieszkiwał ten król puszczy i nie obudził złych mocy. Wielu wieśniaków, ale i zacnych panów oraz rycerzy uważało, że nie wolno drażnić niedźwiedzia, bo to nieszczęście przyniesie, gdyż gniew Krzywonosy będzie straszny. Ale myśliwy nie wierzył tym bredniom i pragnął zmierzyć się z tym potworem zabijającym ludzi i zwierzęta przydomowe. Żaden człowiek nie odważył się samotnie tu zapuszczać.

Czasami przemierzając bór wędrownicy napotykali na połamane i rozrzucone kości szkieletów ludzkich, omijali je jak najdalej, na ile tylko bór pozwalał i trwożnie rozglądali się czy nie usłyszą ryku niedźwiedzia lub trzasku łamanych gałęzi, co mogłoby świadczyć o zbliżającym się potworze. Wielu wieśniaków z pobliskiego grodu uznało Krzywonosy za Czarneboga, to jest Złego Boga i wynosiło do lasu dary tam, gdzie był matecznik zwierza. Tylko na skraju lasu przywiązywali owcę lub jagnię do sosny oraz padali na kolana bijąc czołami podściółkę leśną, mamrocząc modlitwy i błagania o litość nad ich trzodą i dziećmi. Ofiara zawsze była przyjęta, zjedzona bez resztek. Wprawdzie wokół miejsca uczyty zwykle widać było wiele śladów wilków, lisów, rysi i dzikich psów, ale bywały też odciski łap niedźwiedzich, małe i duże. Te duże należały niewątpliwie do Krzywonosy.

Myśliwy patrzył z uwagą na wijącą się pomiędzy świerkami rzeczkę. Jego wzrok, choć słaby od dzieciństwa, wykrył – mimo że odległość była znaczna – świeży trop zwierzęcia. Gdzieś w oddali słychać było szczekanie psa, który pewnie prowadzony na długiej linie zmylił trop i pobiegł za innym niedźwiedziem, którego musiał dopaść. Myśliwy nie dał się jednak zwieść. Oderwawszy się od swojej drużyny, pognął za Krzywonosem kryjącym się w gęstwinach. Skała urywała się nagle w stronę doliny przeciętej kryształową wstęgą wody płynącej od wodospadu wysokiego na kilka łokci. Tam niedaleko musiała być gawra.

Przez chwilę zawahał się jednak czy ma zejść, bo z pobliskiego zagajnika wyfrunęło stado dzwońców i osiadło na kępie traw. Umilkły na chwilę czeczotki i zięby. Ciemna chmura zasłoniła słońce i cień padł na dolinę. Przez myśl mu przebiegło, że tam koło tego wodospadu może mieszkać topielica, a może nawet strzyga, a ta wiedźma pod postacią ptaka żywi się ludzką krwią. Oparł się jednak tej strasznej myśli i zaczął schodzić w stronę doliny ostrożnie wymacując stopami stabilne kamienie. Oszczep, który dzierżył w dłoni, był mu przeszkodą, a i sporej wielkości topór wetknięty za skórzany pas nie dawał swobody ruchów.

Sunał więc z trudem po zboczu strącając drobne kamienie, które wprawione w ruch toczyły się w stronę gołoborza na wyblakłe w słońcu skałki. Kiedy zszedł, zatrzymał się przy występie skalnym lustrując zieloną murawę i łachę błota. Tuż przy brzegu rzeczki było widać ślady łap niedźwiedzia oraz wiele rybich łusek. Krzywonosy musiał nie być głodny, bo ślady były świeże, a łuski nie wyschły zupełnie. Musiał zjeść sporo ryb, gdyż teren był mocno zdeptany i błyszczący od resztek pstrągów lub łososi. Myśliwy zrobił kilka kroków dalej, chciał dobrze oglądnać drugi brzeg, przypuszczał bowiem, że stary niedźwiedź przeprawił się na drugą stronę i zbliżył się do wodospadu. Przystawał jednak co chwilę i rozglądał się dookoła. Jego szósty zmysł kazał mu być ostrożnym. Był zbyt doświadczonego myśliwym, aby ten głos lekceważyć. Nie darmo jego ludzie nazywali go Miedźwiedziem, bowiem niejednego miodojada podchodził i własnoręcznie utłukł. Zdawał sobie sprawę, że podjął wielkie ryzyko odrywając się od swoich towarzyszy, których zostawił w dębowym lesie. Myśliwy był dobrze zbudowanym mężczyzną w średnim wieku, o silnych ramionach i krępej posturze. Jego muskularne ciało miało nadludzką moc, a jeszcze nie całkiem zgasła młodość i wielka ambicja oraz duma nie pozwoliły mu czekać na pozostałych myśliwych – chciał sam dopaść legendarnego potwora, postrach okolicznych grodów i siół. Ciemne włosy i kręcona broda myśliwego lśniły od potu srebrnymi kryształkami.

Myśliwy wierzył w siebie, w swoją moc. Przeskoczył kilka kamieni w rzece i zlustrował przeciwległy brzeg. Nie było żadnych śladów. Widocznie Krzywonos poszedł nurtem rzeki. Trudno było ustalić, czy w górę wody, czy w dół. Po drugiej stronie był gęsty las, w którym roiło się od ptactwa.

Trylowały dzwońce i wygwizdywały swoje arie zięby, świergotały czeczotki i trznadle. Na gałęzi pobliskiego drzewa usiadły dwie dzierzby i krzyczały: czek-czek lub gek-gek-gek. Nad doliną szybował jastrząb wypatrując swojej ofiary. Las oświetlony był żółtymi promieniami słońca, wciskającymi się mgliście między olbrzymie drzewa i gęste krzaki.

Wodospad szumiał i zrzucał wodę do wyłobienia w kształcie kamienistej misy. Miał prawo, gdyż pracował nad jej formą setki lat. Na próżno jednak mężczyzna brodził po kolana w wodzie - śladów miodojada nie było. Obmył zmęczoną twarz wodą zebraną w złożone dłonie podstawione pod spływającą z kamienia strugę. Poprawił topór wysuwający się zza pasa, przeszedł na drugą stronę rzeki i zawrócił, idąc jej prawym brzegiem. I tu nie znalazł tropu. Teraz był pewny – Krzywonos nie przekroczył wody. Musiał być ukryty za tymi piaskowymi skałami, z których myśliwy zszedł. Mężczyzna wszedł do wody bacznie obserwując szarozółtą ścianę. Nie starał się iść cicho, odwrotnie jego zamiarem było wywołanie zwierzęcia na względnie czyste pole, które nie hamowałoby ruchów myśliwego w czasie walki. Jedyne czego się obawiał, to zaskoczenia w wodzie – tu niedźwiedź miałby całkowitą przewagę.

Kiedy wyszedł z wody, spojrzał na szczelinę wdzierającą się w ścianę skalną ciemną raną. Cztery kruki zerwały się do lotu i kracząc zaczęły kołować nad szczeliną. To był dobry znak. Tam był Krzywonos. Myśliwy poprawił w dłoni włócznię, ujmując ją w miejscu owiniętym taśmą skórzaną dla lepszego uchwytu tak, aby dłonie się nie ślizgały po drzewcu, sprawdził grot i wolno ruszył w stronę kraczących kruków. Ubrany był lekko, w krótką spódniczkę przepasaną szerokim pasem, przy którym tkwił topór. Na nogach miał owijacze i skórzane, ładnie wykonane buty. U szyi zwisał łańcuch ze srebra, który przytrzymywał oprawiony owalny bursztyn. Lekki podmuch wiatru uderzał go w plecy, targając ciemnymi włosami opadającymi na ramiona. Wiedział, że niedźwiedź musiał go zwietrzyć, czemu był rad. Nie chciał wchodzić do szczeliny, wolał wywołać miodojada na otwarte pole. Słońce raziło go w oczy, więc pochylił nisko głowę nie przestając wpatrywać się w skały. Wejście do szczeliny zasłaniał szpaler wysokich i gęstych krzaków. Koła kruków zaczęły się zawężać, rozległ się odgłos toczącej się po stoku kamiennej bryły.

Nagle powietrze przeszył ryk. Zatrzeszczały krzaki i w niebo wzbiła się chmara ptaków. Myśliwy zatrzymał się. Wiedział, że za chwilę stanie przed zwierzęciem. Był gotowy do walki. Jego mięśnie były napięte, serce waliło przyspieszonym rytmem i płuca gwałtownie łaknęły powietrza. Twarz nabrała złowrogo wyglądu, zwięzione oczy płonęły nienaturalnym blaskiem, zaciśnięte usta miały wygląd cienkiej kreski. Broda nieco wysunięta do przodu mogła tylko oznaczać pełną wolę walki. Myśliwy obejrzał teren, czy nie ma większych zawad, o które mógłby się potknąć. Nie podobały mu się duże kamienie, starał się je zapamiętać, aby mógł w razie potrzeby uskoczyć nie uderzając o nie. Poprawił ponownie oszczep, czuł, że ręce mu się poca. Był gotowy. Czekał. Wiedział, że zwierzę wreszcie go wyczuło, dziwił się tylko, że tak długo to trwało. Raptem zachwiały się pobliskie krzaki i wyłoniło się brunatne cielsko. Podniosło łeb i pociągnęło powietrze nosem, kręcąc nim w trzech kierunkach.

Myśliwy spojrzał na ciemną bryłę i zdrętwiał. Przed sobą miał niedźwiedzia jakiego jeszcze nie widział. Miał około dwanaście stóp długości i dziwny, potężny łeb. Niedźwiedź prawie nie miał nosa i górnej wargi, przez nienaturalną jamę szczyrzyły się białe kły, jakby w szyderczym śmiechu.

– O potężny Perunie, władco piorunów, panie świata, spraw, aby to nie był Czarnebog! – zawołał myśliwy. – Sto niedźwiedzi leżało u moich stóp, ale czegoś takiego nie widziałem. Panie mój, dałeś mi wiele zwycięstw, daj mi i to, ślubuję zarżnąć trzy woły ku twojej chwale...

Podniósł włócznię wysoko i zrobił nią kilka kół nad głową wzywając swojego boga. Niedźwiedź skierował ślepią na człowieka i rozpoznał w nim swojego największego wroga. Kiedyś podobna dwunożna istota ośmieliła się stanąć mu na drodze i ugodziła go oszczepem w pysk przecinając wargę i grotem rozrywając nos. To było dwie zimy temu, ale Krzywonos pamiętał o bólu i poniżeniu. Teraz znowu pokraczna istota staje mu na drodze i zagraża jego panowaniu. Jemu, władcy tych skał i tego przepastnego boru! Ogarnęła go wściekłość. Wydał potężny ryk, który mógł oznaczać tylko jedno – chęć mordy. Ruszył, żeby zabić.

Błyskawicznie znalazł się przy człowieku, podniósł się na tylne nogi i wyciągnął potężne łapy uzbrojone w wysuwające się pazury. Przyzwyczajony, że wszystko i wszyscy ustępowali mu z drogi, zaskoczony

nieruchomą postawą człowieka – stracił na chwilę impet i ryknął powtórnie. W tym właśnie momencie został ugodzony oszczepem, który wbił się grotem uderzając o kości piersiowe. Grot nie dotarł jednak do serca. Rozpoczęła się nierówna szamotanina przy wściekłym ryku rannego zwierzęcia. Myśliwy zaparł się nogami, aż stopy zaryły się głęboko w ziemi i z całej siły usiłował wbić grot głębiej. Ale niedźwiedź był zbyt silny. Oszczep pod wpływem uderzeń łap zwierzęcia wyslizgiwał się z rąk człowieka. Dzielny myśliwy usiłował uwolnić prawą rękę, sięgnąć po topór. Na próżno. Również próba utrzymania rozwścieczonej bestii na dystans nie miała żadnych szans powodzenia. Źle wbity grot, na skutek raptownego szarpnięcia się zwierza, nie pozwalał na zadanie śmiertelnego ciosu oszczepem. Myśliwy zdał sobie z tego sprawę, puścił więc drzewce, i odskakując w bok, sięgnął po topór. Nie zdażył jednak go użyć. Tkwiący w piersi oszczep, szarpany na wszystkie strony przez rozjuszzone zwierzę, nagle uderzył myśliwego w bark i nie pozwolił zadać zwierzęciu decydującego ciosu toporem.

Myśliwy zdażył jeszcze krzyknąć:

– Perunie, ratuj! – i zwałił się na kamienie uderzając o nie całym ciałem.

Przemknęła mu przez głowę straszna myśl:

– Tak wygląda śmierć!

Świat zawirował mu przed oczami i ogarnęła go ciemność.

Nad nim pochyliła się ociekająca krwią i śliną rozwarta paszcza Krzywonosy.

* * *

Lato zapowiadało się piękne. Wiosenne roztopy dawno już zeszły, ziemia wyschła zupełnie i rozścieliła swoje kolorowe dywany przetykane zielenią traw i barwami kwiatów, nad którymi unosiły się tysiące motyli. Kmiecie wyszli, aby obrobić pola, które powinny nie tylko wyżywić rodziny, ale również przynieść dochód, którym opłacą narzaz, wymierzany w sztukach bydła oraz powołowe – podatek od każdego zaprzęgu rolniczego.

Było ciepło i jasno. Wymarzony dzień na zrobienie porządków w domach oraz pranie szat w pobliskim strumyku wpadającym w lesie do rzeczki, którą nazywali Leśną. Dwanaście dziewcząt, ruchliwych, krzykliwych i roześmianych nachylało się nad miejscem w strumyku specjalnie

przygotowanym do prania. Koszule, spodnie, suknie po zanurzeniu w wodzie układano na deskach i uderzano w nie płaskimi łopatkami. Polewano wyciągiem z brzozonej kory, skutkiem czego woda się pieniała i odprowadzała brud wraz z nurtem strumyka, który płynął dość wolno, gdyż teren był stosunkowo płaski. Wokół miejsca pracy dziewcząt ciągnęły się pola uprawne, zorane pługami ciągnionymi przez woły. Zieleniły się one już od zbóż i kęp fasoli. Nad strumykiem Sarnim, jak go nazywano, gdyż wiele sarn przychodziło do niego pragnąc łyknąć zimnej i czystej wody, tuż koło miejsca zgromadzenia się dziewcząt, przerzucony był drewniany most, na tyle szeroki, że mógł przejechać przez niego wóz ciągniony dwoma wołami. Dalej, dwa dni drogi stąd, wiódł szlak łączący ziemie północne z południowymi oraz od skrzyżowania - ziemie zachodnie ze wschodnimi. Można tymi drogami dostać się było do marchii Gerona, leżącej za Wielką Rzeką, do ziem Goplan i Mazowszan, oraz do ziem Dziadoszan, Ślęzan, Wiślan i – jadąc na północ – Pomorzan.

Za plecami dziewcząt wznosił się gród otoczony rowem z wodą, głębokim na sześć łokci i szerokim na około dwadzieścia pięć stóp. Rów był połączony ze strumykiem skąd czerpano wodę. Dalej wznosił się wał zbudowany z drewnianych skrzyń wypełnionych kamieniami i ziemią. Mur podparty był od wewnętrznej strony sosnowymi belkami ociosanymi z kory. Kilka z tych belek wysmarowanych było zwierzęcym tłuszczem ku ucieście młodych, którzy próbowali dostać się po belkach na koronę wału. Niewielu to się udawało, ześlizgiwali się z natłuszczonych belek, ku ogólnej wesołości patrzących. Wewnątrz tak ogrodzonego placu w kształcie gruszki stały chaty, podobne jedna do drugiej, uszeregowane wzdłuż ulic, po których kręcili się ludzie, przeważnie kobiety i dzieci. Przez rów przerzucono kładkę, którą w każdej chwili można było podnieść. Wysoka, ozdobiona wybielonymi czaszkami żubrów brama była otwarta i tylko poruszający się na wieży strażniczej wartownik uzbrojony w łuk i długi róg do trąbienia sygnałów ostrzegawczych świadczył o tym, że warownia była strzeżona. Słońce przygrzewało z wysoka. Wokół rozlegał się śpiew ptaków. Pod lasem widać było przemykającego, spłoszonego jelenia. Pewnie ryś lub żbik go wypłoszył, gdyż roilo się w lesie od tych kotów.

Wśród dziewcząt wyróżniała się jasnością lica, zgrabnością i dowcipem, szczupła jak lilia, szesnastoletnia Bratomila, córka wójta grodu, zacnego Budziwoja i jego trzeciej żony Aleny. Jej jasne włosy opadały warkoczami dotykając lustra wody. Co chwila brała je do ręki i zarzucała na plecy, ale one niesfornie zsuwały się na ramiona, aby ponownie znaleźć się w wodzie. Jej śliczna twarzyczka musiała budzić zdumienie u każdego, kto tylko spojrzał na nią. Ładnie wygięte łuki brwi i długie rzęsy były znakomitą oprawą dla jej niebieskich oczu. Cudownie skrojone usta w rozchyleniu ujawniały równe, białe zęby, a małe wgłębienie, jakie tworzyło się przy uśmiechu na prawym policzku, nie tylko nie szpeciło, ale dodawało jej wdzięku.

Promienie słońca grzały mocno, więc dziewczęta pozdejnowały wierzchnie szaty pokazując jędrne piersi. Nagość wśród nich nie była rzeczą wstydliwą. Obok Bratomili pracowały Domisława, jasnowłosa sierota, córka nieżyjącego już Bożysława, dzielnego woja poległego w walce ze Słężanami po tym, jak za jednym zamachem ściał dwie głowy wrogów oraz rudowłosa Brona (Bronisława), córka Mściwoja, byłego Wikinga, teraz kowala wyrabiającego ozdoby z brązu, człowieka niezwykle silnego, budzącego ogólny podziw, lecz chytrego i skąpego. Wielu zdumiewało się, że ten potężny i zwykle milczący mąż miał córkę tak filigranową, ładną, łagodną i rozśpiewaną. Jej oczy błyszcząły niczym dwa kryształy.

Dalej wzdłuż strumyka, kucaly inne dziewczęta nucące teraz pieśń o groźnym, włochatym Welesie biegającym po ornych polach. Jedna z nich skończywszy pranie oderwała się od praczek i ruszyła na łąkę zbierać zioła. Kiedy głosy śpiewu umilkły, Domisława wyprostowała się i spojrzała na rozciągający się za polami horyzont, gdzie ginęła droga mająca początek przy bramie grodu.

– Nie wracają jakoś, powinni tu być, minęło już trzydzieści dni – powiedziała z głośnym westchnieniem. Nuta smutku uniosła się w rozgrzane powietrze.

Brona rzuciła szmaty do drewnianego cebrzyka, otarła z twarzy krople wody i zaśmiała się głośno mówiąc:

– Po cóż ci on, źle ci bez niego?

– Bez kogo? Przecież ja... tak sobie tylko ogólnie do siebie...

– Nie udawaj, obie wiemy za kim oczy wyplakujesz, na strażnicę wychodzisz, w dal spoglądasz... A kto Świętowitowi koszyk jabłek zaniósł, czyniąc ofiarę i wznosząc modlitwy za nim?

Podniosła się z klęczek Bratomila i rzekła surowo:

– Nie drażnij się ze Sławką, wiesz jaka jestem jej rada i jak kocham swoich braci... Byłabym szczęśliwa, gdyby ojciec zgodził się przyjąć Sławkę za żonę dla Radomira, byłaby mi najmilszą siostrą.

– Ja tylko tak... żartowałam, przepraszam... Brona podbiegła do Domysławy i ucałowała ją w policzek.

– Nie szkodzi, wybaczam ci – uśmiechnęła się dziewczyna. – To moja wina, bo ukrywam przed wami to, o czym dobrze wiecie, że swoje serce oddałam tylko jemu... Ale... czy on mnie zechce? – Domysława spojrzała na przyjaciółki smutnymi oczami, w których zakręciły się łzy. Po chwili westchnęła ponownie:

– Twój ojciec, Budziwoj, kochana Miłko, to wspaniały człowiek. Czy zechce dać za mnie tyle, ile zażądają moi opiekunowie? Czy w ogóle tyle będę warta? Bratomila objęła ją i przytuliła do siebie.

– Moja ty Sławko, kochana siostró, nie musisz się bać. Pomówię z ojcem, jak tylko wróci z braćmi z wyprawy wojennej, on mi niczego nie odmówi... A warta jesteś o wiele więcej, moja ty dorodna panno!

Wszystkie trzy roześmiały się głośno.

– A ja? A ja? – zawołała Brona, mnie to pewnie nawet Czarnebog nie zechce! Taką biedną tkaczkę...

– Cicho być, nawet nie wymieniaj głośno imienia tego czarnego boga! – krzyknęła Bratomila spoglądając z niepokojem na łąki i orne pola. – Nie trzeba wywoływać złego z pól, jeszcze się do nas przyczepi, ten kudłacz...

Zachichotały lekliwie ścisząc głos. Domysława szturchnęła Bronę w ramię.

– Ty? Ty wyjdiesz za mąż szybko i będziesz zawsze pierwszą żoną, bo lubisz rządzić i się kokosić, dobra z ciebie gospodyni, inne nie będą się liczyć...

Oczy Brony błysnęły na chwilę.

– O jak bym chciała, tak bardzo chciała... Już bym poleciała, uciekła z domu, tylko nie wiem dokąd... Z kim, to wiem, wszak Radomir ma brata...

Bratomiła i Domysława parsknęły śmiechem ubawione gotowością i raptownością przyjaciółki.

– Ja ci wywróżę z lustra wody, chcesz? - zawołała Sławka.

– Umiesz?

– Co by nie, matula, gdy żyła, mnie nauczyła – odpowiedziała Domysława.

Cała trójka nachyliła się nad wodą. Za nimi stanęły zaciekawione dziewczyny, które usłyszały, że będzie wróżba. Młoda wróżka czekając aż się woda uspokoi, szeptała jakieś zaklęcia. W pewnej chwili zanurzyła dłonie w strumyku, zagarnęła do nich wodę i unosząc ją nad głowę chlusnęła nią w twarz dziewczyny. Rozległ się śmiech dziewcząt, ale po chwili umilkły i zrobiła się cisza, tylko słychać było szmer płynącej wody. Wróżka zmaciła ponownie wodę tak, że wszystkie pstrągi uciekły daleko i patrząc w wirujący strumyk mówiła:

– Patrzcie, zaraz pojawi się twarz tego, który będzie twoim przeznaczeniem. Strumyku, ty jesteś źródłem najmilszym, wodo brzeziń, odwróć swoje lustro i pokaż w nim odbicie naszych czynów i przeznaczeń. Proszę, ujawnij to, o co pytamy! Niech pokaże swoją twarz ten wybrany dla Brony... Brzeginie, gniewne boginie tej wody, odejdźcie, a kysz, a kysz! Wodo uspokój się. Uładź swoje warkocze... Pokaż spokój... spokój, utul swój gniew... Ujawnij nam prawdę...

Zafalowała woda i oczyściła się, pojawiły się w niej zamazane twarze.

– Widzę.. widzę... To on, tak to on...

– Kto? Sławka, powiedz! – wyszeptała z przejęciem Brona ściskając aż do bólu rękę Bratomiły. Domysława zamazała dłonią ujawniające się twarze i po chwili mówiła chrapliwie:

– Rycerzem jest! Jest ich kilku, ale twój jest jeden, ten z prawej strony, on jest daleko... Koło ciebie bogaty pan, gładki jest i śmiały, krew po nim spływa... Odpychasz go... Ten z prawej strony wyciąga do ciebie dłoń... szuka twojej...

– Chce mnie! A inne jego żony, powiedz jakie są, dużo ich?

– Nie widzę... nie ma ich przy nim... Jesteście tylko sami i trzyma cię siłą za rękę, jakiś dziwny znak widzę nad nim... Ten drugi się uśmiecha, ma ciemne szaty, obce, nie nasze... O święta Mokosz, to on... on... Oddała się ode mnie... Nie... nie...nie! Pełno tu wody, straszne... straszne...

Nagle młoda wróżka zerwała się na nogi i patrząc nieprzytomnie w słońce ponownie zawołała z rozpaczą:

– Nie, nie, nie, tam głęboko, uciekaj!

Zaskoczone dziewczęta patrzyły na nią ze strachem i w napięciu. Błada, jakby nieprzytomna Domysława objęła gwałtownie Bronę i płacząc krzyczała:

– To obcy, nie zechcesz go, broń się przed nim! Ten cię kocha komu serce oddałaś!

Zamilkła wróżka wpatrując się nieruchomo w nurt wody. Nagle krzyknęła:

– Brona... nie... nie!

Sława zakryła twarz dłońmi i wybuchła płaczem. Bronę przeszyła trwoga. Bratomiła gładziła przyjaciółkę po włosach i odpowiadała:

– Cicho, cicho, to tylko wróżba, zmienimy ją, rusałkom damy podarunki, bo to one złośliwie ukazały ci nieprawdę, ubłagamy naszych bogów, nazbieramy kwiatów całe pęki i rzucimy do strumyka, popłyną do rzeki Leśnej a dalej do Wielkiej Rzeki, i wszystko się zmieni... Zobaczysz... Cicho, cicho...

Dziewczęta płochliwie rozbiegły się do swoich zajęć, przejęte szeptem do siebie mówiły wymieniając ze sobą trwożne uwagi. Okrzyki i nagły zryw młodej wróżki przeraził ich do tego stopnia, że teraz bały się włożyć rąk do wody i dokończyć prania. Podejrzliwie oglądały płynącą wodę spodziewając się najgorszego, może pokaże im się sam Czernebog lub jakaś topielica, a może brzeginie rzucają na nich zły urok, może ich nawet oszpeca?

Nagle od strony grodu rozległ się ostry głos trąbity. Poderwały się wszystkie jak na komendę, rozglądając się wokoło. Po chwili po raz drugi zabrzmiał przejmujący głos. Znały to wołanie ogłaszające alarm: znak, że ktoś lub coś się zbliża. Na wieży strażniczej woj zatrąbił po raz trzeci. Praczki gwałtownie zwinęły niedokończzone pranie i z krzykiem pobiegły do bramy. Ich bose stopy prawie unosiły się w powietrzu. Uciekały nie tylko, że tak miały przykazane robić na dźwięk trąbity, ale i ze strachu wniesionego przez młodą wróżkę.

Krótki sygnał z wieży strażniczej oddany po zniknięciu w bramie dziewcząt oznaczał skalę niebezpieczeństwa. Mówił, że nadchodzi pojedynczy człowiek. Nie było potrzeby podnoszenia mostu i zamykania bramy. Na wieży, obok strażnika, pojawił się rosły mężczyzna i patrzył we wskazanym

kierunku. Był to Mścisław, kowal, ojciec Bronisławy, wprawiony w bojach woj, straszny i bezlitosny w walce. Przybył on gdzieś od Pomorzan, ranny, ledwo żywy, kaleczył tutejszą mowę i początkowo niechętnie na niego patrzyli. Ale został, bo kowal z niego był dobry i nie tylko z brązu ozdoby umiał wykonać, lecz i miecz z żelaza zrobił i zahartował. Ożenił się przez porwanie z niewiastą z osady nad Bobrową rzeką. Dał się poznać jako waleczny, choć krwawy w walkach z wrogami. Nazwali go Mścisław. Teraz na czas nieobecności Budziwoja miał czuwać nad bezpieczeństwem grodu.

* * *

Zbrojni podeszli do przybyłego. Poznali go z daleka – to handlarz, kupiec wędrowny imieniem Aaron. Była to podła postać – lekko przygarbiona, nieco otyła, o haczykowatym nosie i małych chytrych oczach. Zawsze nerwowo rozglądał się wokoło, czujny, niespokojny, jakby się kogoś lub czegoś obawiał. Łysina, którą starał się zakryć zaczesanymi do przodu włosami nie dodawała mu uroku, zresztą to było niemożliwe. Tym razem widok jego był wyjątkowo opłakany. Przez łysinę przebiegała czerwona rana, wypełniona zakrzepłą krwią, jedno oko miał niewidoczne z powodu opuchlizny twarzy. Czarna szata była podarta, a na nogach nie miał butów. Ramię miał chyba wybite, bo ręka zwisała bezwładnie.

Mściwoj i ludzie otaczający wędrowca jeszcze nigdy go takiego nie widzieli. Z ciekawością wpatrywali się w przybyłego, jak zresztą zawsze w nowoprzybyłego, gdyż żądni byli wiedzy o świecie.

– Co z wami, Aaronie, że jak widać jesteście tak bardzo poturbowani? A gdzież to wasze wozy, sami idziecie i to w takim stanie? – odezwał się potężny Mściwoj. – Nie widziałem, aby za wami ktoś ciągnął. Czerneboga spotkaliście? Przed kim to uciekacie?

– Gorzej, panie – Aaron oparł się o belkę wału i ręką przetarł zroszone potem czoło.

– Wolałbym jego spotkać niż tego wisielca z bandą, to bestia, ledwo z życiem uszedłem. Od trzech dni wlokę się lasami, myślałem, że będzie ze mnie tylko jądło dla wilków... Dajcie mi, dobrzy ludzie, coś do picia, bo skonam na waszych oczach!

Mścisław odwrócił się do swoich wojów i krzyknął:

– Niech no który przyniesie garnek kwasu chlebowego!

Zaś zwracając się do Aarona spytał z niepokojem w głosie:

– To powiadacie, że banda was napadła?

– A banda, panie, banda. Było ich chyba z dwustu, a może i więcej... Kto tam miał czas ich zliczyć... Mściwoju, jak wiem, jesteś wielkim rycerzem, ratuj więc moje wozy, to był cały mój dobytek. Tam miałem materiały, jakich jeszcze nie widzieliście, skóry dobrze wyprawione, miecze z żelaza kutego, kolczugi, dwie skrzynie soli i jedną bursztynu, trzy konie na sprzedaż...

– Zabrali wam?

– Wszystko, dobry rycerzu, nawet wozy z wołami a moim ludziom, miałem ich tuzin, gardła poderżnęli, jak baranom... Łotry, nawet szaty z nich zdarli, a ciała wrzucili do ognia. Mnie się udało, bo znam ich mowę i wiarę i zakląłem się na ich Boga, że byłem w ich kraju. Ujęli mnie i stanąłem przed ich wodzem... To potwór, ludzie! To straszny człowiek.

Handlarz na chwile zamilkł. Po chwili suchym głosem porosił błagalnie:

– Zlitujcie się i dajcie już to picie, bo mi język całkiem kołkiem staje... Dobrze, że mi go nie obcięto jak innym...

Aaron wyciągnął łapczywie ręce po dzban kwasu chlebowego, który przyniosła kobieta, żona Budziwoja. Pił długo. Zniecierpliwiony Mściwoj wyrwał mu wreszcie dzban i wrzasnął:

– Gadajże, psubracie, gdzie i jak to było, bo z twojej mowy niewiele da się wywnioskować! Może więcej byłoby pożytku, gdyby i tobie nożem przeciągnęli po gardle.

– Nie gadajcie tak Mściwoju, bo miałem go na szyi, ledwo ją uratowałem...

– Gdzie to było? Odpowiadajcie krótko i dokładnie!

– W ostrokole Witka, tego z Rugii...

– Nie może być! Napadli na niego? Nie dał im odporu? Łże łotr! – rozległy się pytania i okrzyki ludzi. Mściwoj wrzasnął:

– Cicho mi tam!

Ludzie cofnęli się, bo bali się wybuchowości olbrzyma, który pięści miał jak dwa kamienie, twarde od roboty i skore do bicia.

– Na Witka napadli?

– Tak, podstępem wdarli się do sioła i zabrali mi wozy...

- Nic po waszych wozach, co z Witkiem i ludźmi?
- Kiedy to było?
- W drodze jestem już trzy słońca...

Aaron nagle zapłakał i wstrząsany szlochom osunął się na ziemię.

- Zginęli wszyscy, nikogo nie zostawili, nawet dzieciom obcinano ręce i języki, wypalano oczy, wiele kobiet gwałcono i zabito. Wszystkie domy spalili, ostrokół końmi zwalili i ogniem strawili... To bestie, panie...
- A Witek, gdzie on?
- Żyw jest, ale jego synowi głowę obcięto i na tykę nasadzono, potem końmi stratowano...

Wojowie, dotąd milczący ponuro, teraz wydawali gniewne okrzyki i potrząsali mieczami. Kobiety w lament uderzyły. Milczał tylko Mściwoj. Wsparty o miecz ruszał palcami nerwowo, jakby chciał go podnieść. Z zaciśniętymi ustami i płonącymi oczami wpatrywał się w dal. Wojowie wołali:

- Mściwoju, jesteśmy gotowi, poprowadź nas, a życia nie poskapimy! Pomścimy śmierć naszych braci Polan!

Mściwoj otrząsnął się z ponurej zadumy i podniósł Aarona z ziemi.

- Mów, kto to był?
 - To ci, których nazywacie niemymi... Ludzie Gerona... a może Hodona, kto ich tam wie...
 - Kto nimi dowodził?
 - Panie, boję się wymienić tego imienia...
- Mściwoj potrząsnął nieszczęśnikiem.
- Gadaj, a szybko!
 - To... to... Wiechman!
 - Na Swaroga, to znowu on!
 - Tak, panie, cały czarny, nie tylko włosy na głowie miał czarne, ale i wąsy i brodę, a nawet pierś i zbroję...
 - Wiechman! - powtórzył olbrzym. Wokół zapanowała cisza. Na dźwięk tego straszego imienia wszystkich ogarnął lęk. Dwóch wojów wyszło na most przed bramę i z niepokojem patrzyło na odległą ścianę lasu. Stado sarn spokojnie pasło się na łące. Wysoko w górze kołował orzeł.
 - Dokąd się udali? - spytał Mściwoj.

Aaron podniósł bezradnie rękę.

– Nie wiem, panie, z tego co podsłuchałem, to wywnioskowałem, że obłowili się na wielu wioskach i wracali za Wielką Rzekę, do marchii Garona. Mówili jeszcze, że wrócą wytną wszystkie pogańskie plemiona, muszą bowiem nowy znak postawić...

– Znak?

– Tak, panie, oni mają inną wiarę, chcą zburzyć waszych... naszych bogów. W ostrokole, gdzie mi zabrano woły i wozy, mieczami zrąbali Świętowita i szczano na te wióry, drwiąc z niego...

Rozległ się szmer oburzenia. Mściwoj jednak, który oddawał cześć Swarogowi, stał spokojnie.

– Powiadasz, że było ich ze dwustu?

– Tak, panie, wszyscy zbrojni i na koniach, to groźni wojownicy. Lepiej im ustąpić pola.

– Nie twoja rzecz zabierać głos na ten temat! Jakże cię wypuścili?

– Jak wiesz, znam ich język, bo uczyłem nim mówić synów Budziwoja. Tfu! Parszywy i trudny to język, nałgałem, że z marchii jestem, że wierzę w ich bogów i po towar dla nich przyjechałem. Uwierzyli, bo wozy były moje... Znaki krzyża na piersi kazali czynić... Czyniłem, umiałem. Pobili mnie, zabrali odzież, a na ciele wypalili mi piętno, po którym mnie mają poznać. Mam służyć im... O, patrzcie, jak nie wierzycie!

Aaron rozerwał łachmany na sobie i pokazał gołą pierś. Na lewym boku miał wypalony znak krzyża.

– Zabierzcie go stąd, opatrzcie rany i nakarmcie! Dajcie mu też jakieś odzienie – rozkazał Mściwoj. – Jeszcze z tobą pogadamy, teraz odpocznij! Kiwnął na swoją drużynę, by udali się do wartowni na naradę.

– Ty, Rosik, obejdiesz warty i każ im być podwójnie czujnym. Każ też pod wieczór zamknąć bramy.

Wywołany woj skłonił się i poszedł w kierunku południowej części grodu. W wartowni usiedli na klepisku, według starszeństwa tworząc koło. Mściwoj zajął miejsce na wyciosanym w formie siedziska grubym pniu, którego korzenie starczały niczym pajęczne łapy. Całość pnia była wyściełana skórami z niedźwiedzia i wilków. Miejsce to było przeznaczone dla najszlachetniejszego z grodu, zacnego Budziwoja, jednak według obyczaju,

pod nieobecność wójta na tym krześle miała prawo zasiadać osoba go zastępująca. Na ścianach wisiały oszczepy, łuki i setki strzał w kołczanach i pojemnikach w postaci drewnianych koszy. Kilka tarcz zawieszonych na drewnianych kołkach miało raczej znaczenie ozdobne, bo wykonane było z artystycznym wyczuciem.

Podnieceni wojowie ponuro patrzyli na rudą głowę Mściwoja oczekując od niego decyzji. Wielu z nich nawoływało do natychmiastowego utworzenia drużyny i udanie się na poszukiwanie groźnego i okrutnego Wiechmana. Szczególnie gotowych do walki było dwóch bliźniaków, synów Słowomira, krewnego wójta Witka. Nie brakło jednak głosów doradzających zachowanie spokoju i pozostanie w grodzie. Mściwoj milczał, choć krew miał gorącą i pięści zaciskał aż do bólu. Pozwolił się wszystkim wygadać, nim zabrał głos.

– Wysłuchałem wszystkich – powiedział. – Znacie mnie i do boju jestem pierwszy. Serce rwie się do walki i pomszczenia naszego brata Witka i jego rodziny, naszych sióstr i braci. Niektórzy radzą rozpuścić wici i ogniem zwołać lud. O tym łotrze, Wiechmanie, wiele wiem, bo z jego wojownikami stoczyłem wiele bitew, łotr to sprytny i waleczny, znający dobrze teren i poruszający się wraz z wojami na koniach. Wierząc handlarzowi, to napad był trzy doby temu, a więc Wiechman jest już daleko. Nie wszyscy mamy konie, zaledwie jest dwanaście, pieszo więc ich nie dogonimy, zresztą nie wiemy, gdzie ich szukać, chcąc odnaleźć ich ślady stracimy co najmniej jeden dzień dodatkowo. Jakie więc mamy szanse dopaść ich i nękać, choćby z zasadzek? Nie widzę takich możliwości. Serca macie waleczne, lecz trzeba kierować się rozsądkiem. A ponadto czy mamy zostawić nasz gród bez obrony?

Wojowie patrzyli ponuro w nieczynne palenisko na środku izby. Nikt nie odpowiedział na zadanie pytanie. Wiedzieli, że Mściwoj miał rację. Wielki rycerz powiódł oczami po mężach, odczekał chwilę, po czym przemówił ponownie:

– Budziwoj, kiedy mi powierzał gród, ostrzegał, abym nie wyprowadzał was poza wały i strzegł grodu. Nasi bracia i synowie poszli z naszym wodzem na pomoc braciom Polanom, którym Goplanie zwalili bogów, narzucając swoich. Znając Goplan, będzie to krwawa walka, być może nie wszyscy bracia i synowie wrócą, a być może będzie wielu rannych i niezdolnych do walki

i dalszych wypraw. Mamy im zostawić pusty gród uganiając się za Hodonami lub Geronami? Co by powiedział na to Budziwoj? Mogę złamać jego polecenie?

Kowal wstał i uderzył dłonią w miecz przypasany do biodra.

– Nie, serce mi krwawi i wzywa do boju, ale nie wolno nam opuścić domów. Zaniechajcie tych myśli, rozkazuję! Niech teraz zostanie tu starszyzna, ustalimy co mamy przedsięwziąć. Czekać na moje rozkazy!

Wyszli w milczeniu nie śmiejąc się sprzeciwić Mściwojowi. Niedługo czekali na rozkazy. Czterech konnych, dobrych tropicieli, wyjechało w określonych kierunkach, by rozpoznać ruchy wojska Wiechmana, podwojono strażę i zalecono na wypadek oblężenia dokonać przeglądu broni i zgromadzonej żywności.

Nadchodziła noc. Powoli gród zapadał w sen. Jednak niepokój nie dawał ludziom spać. Wszyscy oczekiwali szybkiego powrotu Budziwoja wraz z jego drużyną, składającą się z najdzielniejszych z dzielnych zbrojnych mężów, mieszkańców grodu.